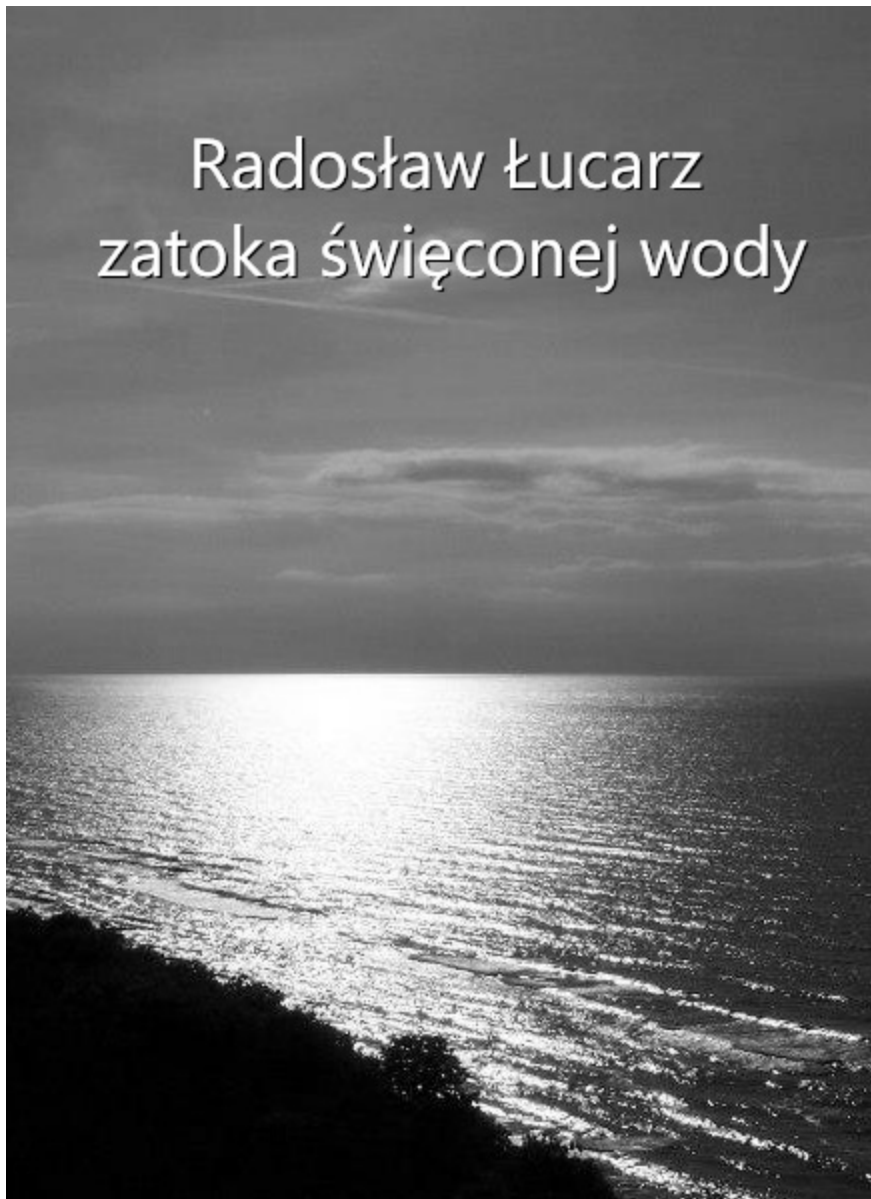


Radosław Łucarz
zatoka święconej wody



Redakcja

Radosław Łucarz

www.lucarz.blogspot.com

Opracowanie graficzne i projekt okładki

autor

ISBN: 978-83-934863-3-5

Wszelkie prawa zastrzeżone, jednak czytajcie wszyscy publicznie i bez wstydu.

To czyńcie na moja pamiatkę.

Aby powstała ta książka nie wycięto ani jednego drzewa, chociaż ostatnio wiało tak bardzo, że kładły się same a dachy fruwały po okolicy.

Maidstone

przedwiośnie 2014

zatoka święconej wody

lubię te zimne fale
styczniowym krokiem
opuchnięta plaża

lodowaty wiatr nie przynosi ulgi
wojna jest blisko
bezlitośnie flaga
kolorowo szarpie się
pomiędzy żaglami

a teraz utnę ci głowę
byś mogła mi smakować
kiedy już wrócę
do mojej ponurej nory

lokalni generałowie wreszcie
przestali raz na zawsze

nie muszę już ścisnąć bagnetu
aż do bólu palców

środkiem czerwonego poranka
nieprzytomną głowę ledwie wznoszę

defilując honor oddaję
sobie samemu

pędząc z prędkością śmierdzącego
tłumu tak samo nie wiedzącego
ku czemu cała ta wariacka jazda
wychodzę na duszny korytarz
by oddać się misterium
karmienia tego co mnie zniszczy

przez cienką brudną szybę
staram się nawet nie udawać
że zazdrozczę chwil
które nie były mi pisane

jadę bezmyślnie

jest mi prawie tak samo wszystko
jedno jak wtedy gdy
pomarańczowa przyjemność
skutecznie mijala się ze wszystkim
czego pragnąłem i nie było mi
dane więc obiecałem sobie
że wam to zabiorę i zniszczę
jeśli tylko nadarzy się sposobność

pamiętam
tamtej nocy
lodowata smuga oddechu

marzyłem o was wszystkich
jedną serią w zasad imię

tłoczną przestrzenią
nikczemną prędkością
z pochyloną głową

hołd złożyć nadzwyczajności

by nie pokalać
zatrzaśniętej miernocie
własnej cielesności

szeroko zdziwiony
nie dowierzam

bezlitosne światło
zimne spojrzenie

śnieg topnieje za oknem
pluję do zlewu krwią

na wszystkich
których się bałem

wciskam w podeszwy błoto gówno i śnieg
nic już nie będzie jak dotychczas bywało

chłodnym świtem w głowie
ciągle huczy po wczorajszym
zdawało nam się
jesteśmy sobie pisani

teraz unikamy swego wzroku
zażenowaniem ignorując
wilgotne minuty
chwilowej nieprzyzwoitości

wciąż płoną garaże z błogim
uśmiechem posłusznie melduję:

nie jestem tym za kogo mnie
bierzecie a skoro już zostałem
zapisany chociaż w takich
chwilach nie wypada pozwolić:

że więcej nie powiem- odwlokę
swój gabaryt śniąc o beztroskich
chwilach

gdy napinając mięśnie
zapierdalałem tępo i uparcie port
przeznaczenie idealizując
dziecinnie wręcz naiwnie
dla swojej tylko przyjemności

udając że nie patrzę na blade
rozbujane wstydem piersi

boże jak darłem mordę żałości
jak wstyd i żal mi wtedy było pomiędzy pchnięciami

kiedy usiądę znowu nad jeziorem
ciepły wiatr

uciekałem z sześciu metrów
łapczywie chwytając powietrze

podczas gdy nadpalone ziemniaki
stygły jasnowłose pragnienia
pogubione w dyszących
konarach niczym zakręt brany
pewną ręką rozpędzona
furgonetka przekrzyczana
dziecinny śmiechem
ślizgiem w bure odmęty-

butelka będzie pusta

taka jesteś jasna i święta tylko
brudne kolana niewinnie
pogubione w krzakach buty
smaku dodają
twojej podłej doskonałości

dopiero wczesna jesień
błąkam się bez celu
ciemno i zimna
wilgoć nie przypomina tej
co we wspomnieniach

dziś nawet niespełnione butelki
do których uciekam co noc
ciężą obojętnością pośród obcych ludzi
pod kocem burym jak publiczny szalet

grzęznę w paździenikowym piachu
kłaniam wichurze
pośród słonego huku

miast pławić
w śliskich sokach

uparcie ku wschodowi
krzyczę pożegnać się z marzeniami

stoimy rażno ściśnięci
ledwie udało nam się uciec z ciężarówki
a nasze nieprzytomne twarze
hańbi mróz i wino za trzy grosze
parszywie oślepia zimne światło

dla zachowania wewnętrznych proporcji
krzywię się z niesmakiem-
jeżeli teraz zapalisz- znajdzie się jakiś przydupas
zaś nasze plany spalą na panewce

dopiero za kilka chwil mamy
przekroczyć barierę różowej poświaty
strząsnąć wszelkie niedogodności
pozbyć każdej wątpliwości

niech bestia przejmie kontrolę
niech się wreszcie stanie

właśnie piskliwie hamujemy gdzie
dźwigi i cała ta dziwna droga którą
ledwie kilka razy przemierzyłem
a czuję jakbym nigdzie indziej
dotychczas nie chodził

próbuję zwlec
umundurowane nieprzespaną
nocą ciało

skurwysyn obok wreszcie zamilkł
w drzwiach miniemy się bez
słowa nie rozczulając
pożegnaniem

zanim przyjadą czołgi i zakopimy
je łopatomy pośrodku iglastej
pustyni pobiegniemy chłodnym
rankiem psalmy śpiewając
pomiędzy zasiekami

potem dysząc gorącym kurzem
zjemy przedojrzałe runo

potem nas zaatakują a my
krztusząc się będziemy udawać że
damy radę trzymając się za ręce

wiatr tylko muska poszarpane żagle
zatoką święconej wody
ku śnieżnobiałemu brzegowi
ledwie dryfuję poprzez noc

kwadrans i jeszcze
ły?

jak w tunelu stoję odziany w liche
mundur i wmawiam sobie że kimś
lepszym będę a cały mój żal
przewróci tę pędzącą maszynę
pozamykanych w zakratowanych
kontenerach krzyków bezsilnych
wyciągniętych rąk pełnych
rozpaczy pędzonych ku zatraceniu

później

zaciskam tylko pięści

szklaną ścianą
ku czarnemu niebu

mury
coraz grubsze

cała wielkość opactwa
zawisa niepewnie na drutach

przerzucona niewprawną ręką
byle jak zawsze

pozwól
zanim znów spierdołę
nasze uczucie

ostatni raz znowu
spotkają się wargi
ani razu więcej

wpatrując się w odchodzącą noc
słuchając twego spokojnego snu
dławię niewinnym ciepłem

potem magia
wszechogarniającego szczęścia
pryśnie-

nie wykrztuszę więcej
ani słowa

kiedyś gdy wrócę i ciebie nie
będzie ani wszystkiego na co
dotychczas kląłem z zawziętością
fanatykom pisaną

nim skoczę na wyszarpane
bezsilną nienawiścią gitarowe
druty

nim przetnę co przyzwoitość
dekadę wstecz uczynić nakazała

coraz mniej chce mi się wracać
coraz mętniej gaśnie lustro

coraz mniej smakuje mi muzyka
coraz bardziej czuję

jak bardzo śmierdzę
jak bardzo godzien nie jestem

idealnie pomiędzy śmietnikiem
perfekcyjną konstrukcją ze stali

kaszląc cegłami
niebieskim światłem

dalej uciekać
ni siły ni ochoty

sztorm się wzmaga:
niczym obłąkane dzieci z trzeciej klasy
biegamy z walizkami żałośnie
szukając właściwego wyjścia

szare poplątane korytarze
trzęsą obietnicami lepszego

szarpię się wyjąc przez zęby
mój statek nieudolnie odpływa
odbijając o falochron

gwiazdy wkrótce wyblakną
rozszarpane białą smugą
ambulans w ciepłym powietrzu

bezgłośnym wyciem
tak bardzo nie chcę wracać
ruin coraz więcej



Radosław Łucarz
rocznik 1978

*“When I look back upon my life, It's always with a sense of shame.
I've always been the one to blame.
For everything I long to do. No matter when or where or who
Has one thing in common, too:
It's a sin!!!”*

Pet Shop Boys.
Kocham tę piosenkę, odkąd sięgam pamięcią wstecz.

Dotychczas opublikowałem:

zero czterdziesti jeden (2012)
Druty (2012)
Zabicie czarnego kota (2013)

